Opłata pocztowa uiszczona gotówką

Cena 25 gr.

CZERWONA RÓŻA

Nr. 1 (12) WARSZAWA, MAJ — 1938 R. ROK I (V)

„CZERWONA RÓŻA" REDIVIVA

Z dnem dzisiejszym wznawiamy wydawanie „Czerwonej Róży".

Od jesieni 1933 r., kiedy ukazał się pierwszy numer pisma pod tą nazwą, upłynęło prawie pięć lat. Wiele zmian zaszło od tego czasu i w kraju i w świecie. Gdy zespół młodych ludzi, podejmujących się głoszenia niepopularnych haseł, rozpoczynał swą pracę, żył jeszcze Józef Piłsudski, żył jeszcze Adam Skwarczyński. Z Jego to ust padły słowa zachęty do podjęcia niepopularnej walki o rewizję utartych pojęć i etykietek.

Z Jego ust padły słowa aprobaty dla postulatu zburzenia ideologicznego muru, dzielącego w sposób fatalny patriotyczną część społeczeństwa.

I z Jego to rąk, — w Spale, w pogodny letni wieczór 1933 roku, — przyjął „buntowniczy" zespół symboliczny kwiat c z e r w o n e j r ó ż y...

* * *

Czerwona Róża była pierwszym „narodowym" zespołem po legionowej stronie „linii podziału". Była pierwszym zespołem, który otwarcie i wyraźnie przyznał się do Nacjonalizmu. Była zespołem, który, na kilka lat przed powstaniem Obozu Zjednoczenia Narodowego, rzucił hasło konsolidacji narodowej i zburzenia szkodliwych barykad.

Rozwój wypadków potwierdził przewidywania i tezy „nieprawomyślnego" zespołu. Lecz daleko jest jeszcze dzisiaj do pełnej realizacji wysuniętych wówczas postulatów. Co więcej — na naszych oczach odżywają próby konserwowania zmurszałych murów, podejmowane są dawne, nie jednoczące, lecz dzielące hasła, stosowane są dawne, przebrzmiałe kryteria. Nigdy jeszcze nie święciły takich triumfów, jak dzisiaj, pomieszanie pojęć i ścieranie się fikcyj. W szeregu dziedzin wytworzyła się dzisiaj sytuacja, dziwnie przypominająca tę, która istniała w okresie 1932—33 r.

W tych warunkach jest rzeczą szczególnie wskazaną rozpocząć pracę ideową i publicystyczną pod dawnym, pierwotnym sztandarem. Jeśli wytworzył się dzisiaj znowu splot tragicznych powikłań i nieporozumień, jeśli mają miejsce celowe wysiłki nad zwiększeniem chaosu i zagmatwaniem obrazu rzeczywistości, — to niechże przynajmniej w tym chaosie przechowa się w pierwotnej czystości idea, u kolebki której stał Adam Skwarczyński.

Ogień, zapalony u miejsca świętego, może przez całe lata trwać w postaci skromnego płomyka przed świętym obrazem. Może jednak nadejść dzień, gdy zapalony od niego stos wybuchnie wielkim płomieniem...

* * *

Tradycje „Czerwonej Róży" kontynuowane były przez „Płomieńczyka". Dzisiaj, pod tą samą redakcją co dawna „Czerwona Róża" i „Płomieńczyk", wydajemy nasze pismo.

Jak aktualne są dzisiaj tezy z przed lat pięciu, niech świadczy artykuł Wita Grota (Ludomira Skórewicza) z Nr. 1 „Czerwonej Róży" z 1933 r., który zamieszczamy niżej w całości.

WIELKA PRZEMIANA

Żyjemy pod znakiem dziejowej Przemiany. My, to wraz z Polską cały świat cywilizacji XX wieku.

Historia jest łańcuchem bezustannych przemian. Co pewien czas łańcuch znajduje nowe punkty zaczepienia, od których snuje się dalej. Są to wydarzenia, przeobrażające zasadniczo tradycyjny porządek. Tej miary, co Odrodzenie lub Wielka Rewolucja, Wędrówka Ludów lub Światowa Wojna. Zazwyczaj dojrzewają one niepostrzeżenie. A gdy dojrzeją, rozpoczyna się nowa era, odwraca się jeszcze jedna karta historii.

Znajdujemy się w rdzeniu kryzysu gospodarczego. To znaczy, nie w jego zaraniu, ale gdzieś w samej istocie kataklizmu. Równocześnie jesteśmy świadkami załamania się panującego do niedawna niepodzielnie materialistycznego światopoglądu: gospodarczo-społecznego, który ukoronował gmach doktryny liberalistycznej potworem kapitalizmu; społeczno-politycznego, który z przykazań Marksa ukuł mechanizację i biurokratyzm sowieckiego systemu.

Kapitalizm i socjalizm — to śmiertelni wrogowie w walce o dobra materialne. Mają jednak wspólną istotę. Tak wspólną, jak konary jednego drzewa. Wyrosły mianowicie na wspólnym pniu materialistycznej oceny istoty i celu ludzkiego bytu.

Ugodzone śmiertelnym ciosem Wielkiej Wojny zdają się już należeć do gasnącego świata. Ale w drgawkach agonii wstrząsają organizmami narodów, szukając środków ratunku przed ostateczną zagładą. I dlatego wszędzie, gdzie młot kryzysu poczyna coraz potężniej kruszyć podwaliny, wre gorączkowe poszukiwanie recepty na uzdrowienie.

Znamienne są te rozpaczliwe wysiłki. Wszystkie bowiem błądzą w granicach tego samego świata materialistycznej myśli, której wytwory rozpadają się na oczach współczesnych. A tymczasem gmach współczesnej cywilizacji rysuje się nietylko tam, gdzie chodzi o gospodarcze sprawy. Trzeszczy on w swych najgłębszych fundamentach. Ogół jeszcze nie uprzytamnia sobie tych zmian, choć wyczuwa świt nowego jutra. Dokonują się one bowiem poza dostrzegalnym światem materii — w duszy ludzkiej. Poprostu przeżywamy kryzys Ducha.

Materializm z pasją obalał prawdy i wiary, regulujące powszechną uczciwość i obyczajowość w sposób niedoskonały, ale zaspakajający tęsknotę przeciętnej duszy. Zbudował wzamian



świątynię kultu złotego cielca. Naruszając nasz kręgosłup duchowo-obyczajowy, na którym wspierała się bogata kultura Narodu, rozniecił klasową nienawiść, podporządkował duchowe życie żądzy użycia, zasiał powszechne zwątpienie w dobro i sprawiedliwość, zatruł nas jadem negacji, defetyzmu i serwilizmu. Nauczył kupczyć wszystkim i za wszelką cenę. Rozprzągł rodzinę i upodlił duszę.

W poszukiwaniu sensacyjnej formy dla robienia kasy polska sztuka zeszła na manowce. Przeróżne chedery literacko-filozoficzno-obyczajowe, wszelacy prorocy nowej moralności i handlarze ideową galanterią wypaczają duszę naszego Narodu.

Patrząc na zwyrodnienie duchowe potomstwa materialistycznego credo, obserwujemy jednocześnie przedświt nowej ery. Na toksynę duchowego rozkładu Narodu i na niewolę Ducha w okowach materii ludzkość poczyna reagować. Powszechnie dojrzewa idea narodowego Odrodzenia. Jak potężny strumień podziemny przenika ona najgłębsze warstwy społeczne, przeobraża psychiki, znajduje polityczne sformułowania i czynne przedstawicielstwa.

I u nas naprzeciw materialistycznej doktrynie, w imieniu której międzynarodowy pająk kapitalizmu z jednej, komunizmu zaś z drugiej strony oplata żywe ciało Narodu, poczyna burzyć się prąd narodowej reakcji. Atmosfera przesycona jest pragnieniem tysięcy, by dokonała się wreszcie narodowa konsolidacja, zwłaszcza w obliczu Drang nach Osten Trzeciej Rzeszy i trzymilionowego rocznego przyrostu ludności wschodniego sąsiada. By wewnątrz Państwa Duch polskiego Narodu znalazł obronę przed jadem niszczących wrogich drobnoustrojów. By życie państwa zostało nasycone naszą własną, narodową, polską treścią. By jednym słowem nasze państwo stało się wyrazicielem polskiego Narodu i narzędziem Jego woli.

Dlatego odradza się i triumfuje Idea Narodowa. Na maszcie historii świata sztandar Nacjonalizmu począł iść w górę. Godzina Wielkiej Przemiany wybiła. Wybiła i dla nas.

Idea narodowo-społecznego odrodzenia Polski zaczyna się urzeczywistniać. Wkraczamy w progi epoki, której znamieniem jest władztwo Ducha nad materią, wiary nad zwątpieniem, pracy nad złotym cielcem.

Oto istota współczesnej Wielkiej Przemiany.

(„Czerwona Róża“ z dn. 22. X. 1933 r.)

NARODOWI PIŁSUDCZYCY

POD ZNAKIEM NACJONALIZMU

Byłoby dzisiaj banałem twierdzenie, że Nacjonalizm jest modny. Potężny prąd ideowy, przenikający dziś wszystkie społeczeństwa, zdążył już wycisnąć swoje piętno na przeżywanej obecnie epoce. W różnych krajach i pod różną długością geograficzną różne być mogą odmiany Nacjonalizmu, różny być może jego koloryt, a nawet filozoficzne uzasadnienie. Ale istota jego, zrozumiała dla mas i stanowiąca o jego popularności, jest wszędzie ta sama.

Rozmaite mogą być poglądy na genezę i istotę Nacjonalizmu. W rozmaitych czynnikach można doszukać się cech konstytutywnych narodowości. Można upatrywać je w czynnikach materialnych, jak rasa i krew, można doszukiwać się ich w dziedzinie psychiki, czyli w świadomości narodowej. Ale wydaje się niesporne, że istnieje w dobie obecnej pewien czynnik dominujący, który sprawia, że ideje Nacjonalizmu chłonięte są przez umysły jak strawa, której się oddawna łaknęło. Czynnikiem tym jest niespotykany dotąd stan zagrożenia Narodów.

NARODY SIĘ BRONIĄ

Stan zagrożenia Narodu nie może być rozumiany wyłącznie w sensie grożącego mu niebezpieczeństwa zewnętrznego, choć i ten moment odgrywa olbrzymią rolę. Rzeczą stokroć groźniejszą jest atak od wewnątrz na samowiedzę i psychikę narodową. Cały szereg groźnych i tajemniczych sił nie od dziś pracuje bowiem nad rozkładem społeczeństw od wewnątrz, nad zatruciem ich świadomości narodowej, nad zniszczeniem tego, co stanowi o odrębności ich oblicza duchowego. Proces ten trwa nie od dzisiaj, lecz wydaje się, że teraz właśnie nadszedł czas, gdy wzrosły bujnie i obrodziły owocem zasiewane pracowicie w okresach ubiegłych ziarna.

Nie będziemy dziś rozważali, jaką rolę odgrywa w tej akcji ideał mesjański Narodu Wygnanego, w którego interesie leży zatarcie świadomości wszystkich innych narodów, ażeby mógł panować nad globem ten jeden.

Nie będziemy roztrząsali, czy sprężyną poruszającą nie są tu te tajemnicze ośrodki, stawiające sobie za cel realizację Republiki Ludzkości na gruzach państw narodowych.

Nie będziemy zgłębiali, gdzie tkwią źródła doktryny klasowej, upatrującej najistotniejszą więź społeczną nie w przynależności narodowej, lecz w spełnianiu identycznych czynności w procesie produkcji.

Pozostawmy również na uboczu kwestię, jaki jest wzajemny stosunek wszystkich tych czynników. Nie będziemy badali, czy istnieje pomiędzy nimi stan zależności funkcjonalnej, czy też tylko zjawisko sojuszu i współdziałania. Stwierdzamy tylko, że akcja taka istnieje i że nigdy jeszcze nie osiągała takiego stanu napięcia, co w czasach dzisiejszych.

Byłoby rzeczą nienormalną i niezrozumiałą, gdyby tego rodzaju zamach nie wywołał kontr-akcji społeczeństw. Narody, żywe twory Boże, na które w tajemniczych podziemiach wyrok został wydany, musiały się bronić. Kompleks wartości nadrzędnych, dla których pokolenia całe krew przelewały, nie mógł prysnąć w jednej chwili, jak bańka mydlana. Mit narodowy, stanowiący istotę samowiedzy narodowej, nie mógł rozpłynąć się nagle w powietrzu, jak dym z papierosa. Reakcja przeciwko atakowi była, być może, potężniejszą nawet, niźli sam atak. Na podłożu tego właśnie ataku i samoobrony rozwinął się Nacjonalizm.

PIĘCIU SPRAWIEDLIWYCH I LEGION POTĘPIEŃCÓW

Potężny prąd Nacjonalizmu nie mógł ominąć również i Polski. Więcej nawet — okres utraty niepodległości i ucisku narodowego sprzyjał wybitnie rozwojowi prądów patriotycznych. Ale w specyficznych polskich warunkach ten zdrowy i naturalny proces zaczął wykazywać jakieś nieznane gdzieindziej schorzenia i ułomności. Pień Nacjonalizmu Polskiego, zamiast strzelać do góry wyniosłym masztem, rozwidlił się od samych korzeni na kilka konarów, a korę jego pokryły jakieś chorobliwe narośle i grzyby.

W jednym z pism codziennych ukazał się niedawno artykuł p. t. „Grupy narodowe w obozie legionowym“. Autor artykułu, analizując strukturę ideologiczną tego obozu, dochodzi do wniosku, że z pośród rdzennych piłsudczyków dwie tylko młode i nieliczne grupy reprezentują kierunek narodowy. Jako reprezentant jednej z tych grup został wymieniony niżej podpisany.

Dziwne uczucia ogarniają człowieka, gdy widzi połączenie swego nazwiska z potężnym i wielkim prądem ideowym. Z jednej strony, opinia publiczna nie myli się niewątpliwie, uważając go za nacjonalistę, skoro od lat całych propaguje konsekwentnie Nacjonalizm, narażając się nawet na zarzuty odstępstwa od ideowego sztandaru.

Ale z drugiej strony — w głębi duszy rebelizują i podnoszą głos jakieś skrupuły moralne... Rodzą się natrętne wątpliwości co do posiadania tytułu moralnego do takiej reprezentacji. Jakiś tajemniczy głos szepce uparcie do ucha, że coś tu jest nie w porządku i że cała ta klasyfikacja oparta jest, być może, na jakimś zasadniczym nieporozumieniu.

Bo jakże? Na cały wielki obóz niepodległościowy znalazło się kilku tylko panów, godnych miana narodowców? Więc cały ten obóz, co o najwyższe dobro Narodu — Niepodległość — ofiarnie i bohatersko walczył — nie jest narodowym? Więc ci, co w 1914 roku z bronią w ręku ruszyli w pole, by walczyć o Polskę, nie są narodowcami? Na miłosierdzie Boskie, czy nie zachodzi tutaj jakieś potworne pomięszanie pojęć? Czy nie rozpoczyna się znowu jakaś zabawa w fałszywe etykietki i krzyczące szyldy? Czy nie rozpoczyna się znowu jakiś tragiczny taniec masek i korowód fikcyj?

CO GŁOSIŁA „CZERWONA RÓŻA"?

Tezy „Czerwonej Róży" z 1933 roku były jasne: cały obóz legionowy, a przynajmniej jego trzon zasadniczy jest obozem narodowym. Nie ma dla niego innego miejsca i innej nazwy w rejestrze ruchów politycznych współczesnej epoki. Narodowa Demokracja w stosunku do obozu legionowego nie jest herezją, lecz schizmą ideologiczną. Mimo, że słowo „Nacjonalizm" stało się w jego łonie „wstydliwym słowem", — obóz legionowy jest obozem nacjonalistycznym. Tolerancja wobec mniejszości narodowych i niechęć do ekscesów antyżydowskich w niczym nie zmieniają tego stanu rzeczy. Są to bowiem kwestie metody i taktyki, a nie światopoglądu zasadniczego. Jeśli zaś niektórych ludzi w obozie legionowym dziwi lub gorszy takie stawianie sprawy, — to przypominają oni do złudzenia owego pana Jourdain, który przez całe życie pisał prozę, nie wiedząc o tym, i bardzo się zdziwił, gdy się wreszcie dowiedział...

Tezą „Czerwonej Róży" było, że polska myśl narodowa od lat dziesiątków uległa tragicznemu rozdwojeniu i popłynęła dwoma korytami. Przyczyną tego była nie tylko różnica orientacyj wojennych, dotąd jeszcze ciążących kamieniem na naszej sytuacji wewnętrznej. Korzeni tragicznego rozdźwięku szukać należy w rozdwojeniu polskiej myśli politycznej w ciągu całego XIX wieku. Tradycje Hotelu Lambert i Towarzystwa Demokratycznego, Czerwonych i Białych, w niemniejszym stopniu zaważyły na losach tej myśli, niż animozje NKN-u i Komitetu Narodowego w Paryżu. Dziś jednak po odzyskaniu Niepodległości, czas jest chyba najwyższy na ponowne połączenie rozdzielonych nurtów. W obliczu niebezpieczeństwa zewnętrznego winno nastąpić scalkowanie poszczególnych odłamów Nacjonalizmu polskiego. Należy więc zlikwidować zasadnicze nieporozumienie, jakim jest podział społeczeństwa na „narodowców" i na „państwowców". Państwo nie może być przeciwstawiane Narodowi, gdyż jest ono tylko jego formą bytu i narzędziem woli. Trzeba więc dać spokój tworzeniu „na złość endekom" sztucznej „ideologii państwowej". Trzeba dać spokój eksperymentom „wychowania państwowego", przeciwstawianego „narodowemu". Jeśli kogoś razi prymitywna mentalność Narodowej Demokracji, niech nazwie swój kierunek „nacjonalizmem pozytywnym" albo „oświeconym", lecz niech nie upiera się przy tworzeniu odrębnej terminologii, gdyż powoduje to tylko chaos i pomięszanie pojęć.

„Czerwona Róża" nie przeciwstwiała więc swojej grupy reszcie obozu legionowego. Była zespołem ludzi, którzy uświadomili sobie, że są nacjonalistami i dostosowali do tego swoje postępowanie. W stosunku do swoich przyjaciół ideowych „Czerwona Róża" mówiła: „My jesteśmy nacjonalistami, ale i wy również nimi jesteście, chociaż nie chcecie się jeszcze do tego przyznać". Z tak pojętym Nacjonalizmem godził się już wówczas cały szereg wybitnych postaci obozu legionowego. I takiemu tylko Nacjonalizmowi udzielił swego moralnego poparcia Adam Skwarczyński.

DYWERSJA IDEOLOGICZNA

Ewolucja ideowa obozu Piłsudczyków poszła w ostatnich latach w kierunku właściwym. Pojęcia nacjonalizmu i konsolidacji, tak rażące do niedawna uszy niektórych osób, stały się dzisiaj częścią oficjalnej ideologii. Zasadniczy narodowy trzon obozu zaczął się pozbywać obcych ideowo elementów, związanych z nim luźno względami taktycznymi.

Perspektywy podjętego przez obóz legionowy dzieła różnie mogą być oceniane. Podjęte dzieło należy niewątpliwie do kategorii najtrudniejszych. Powodzenie jego zależy nie tylko od słuszności głoszonego programu, lecz również i od atmosfery psychicznej w społeczeństwie. Nie można się więc dziwić, że dotąd jeszcze trwają spory na temat celowości tych czy innych metod, względnie form organizacyjnych. Z tej więc strony można się było spodziewać największych tarć i kontrowersyj. Można było spodziewać się jednak, że w rozgrywkach organizacyjnych oszczędzoną zostanie rzecz najważniejsza, jaką jest idea zjednoczenia rozdzielonych prądów Nacjonalizmu polskiego.

Postawmy sprawę wyraźnie: w ideę tę, o którą rozpoczęła walkę „Czerwona Róża", został wymierzony ostatnio cios nieoczekiwany. Głośne secesje z Obozu Zjedn. Narodowego posiadały pewien aspekt szczególny, na który nie została dotąd zwrócona dostateczna uwaga. Secesje te bowiem zostały umotywowane w taki sposób, że uderzyły rykoszetem w ideję, która zaczęła już zapuszczać korzenie w polskie umysły i serca. Secesjoniści zaakceptowali podział obozu legionowego na drobną „narodową" grupkę i na „nienarodową" część pozostałą. Obozowi niepodległościowemu odmówiono prawa do nazywania się narodowym. Ze zdumiewającą skwapliwością został puszczony w ruch arsenał środków, do jakich nie uciekają się już dzisiaj rozsądniejsi publicyści Narodowej Demokracji. Z najwyższym zdumieniem obserwujemy dzisiaj ponowny nawrót do porzuconej już, zdawało by się, dętej frazeologii i ponowną manię dysponowania „narodowymi" etykietkami. Chwilami się zdaje, że przeżywamy obecnie nie rok 1938, lecz że wróciły najlepsze czasy „monopolu na Boga i Ojczyznę". Sztuczna i fałszywa linia podziału, co tyle zamętu i zła wyrządziła, znowu odżyła w swojej najbardziej prymitywnej i wulgarnej postaci...

Wytworzony stan rzeczy jest dzisiaj niewątpliwie gorszy, aniżeli był kilka lat temu. Wówczas istniał przynajmniej oficjalny podział na „narodowców" i na „państwowców". Dzisiaj sugeruje się, że po jednej stronie stanęło kilku „narodowych" działaczy, po drugiej zaś rozpostarły swoje władanie zamaskowane ośrodki i obce agentury.

Ze zdumiewającą lekkomyślnością został zlekceważony wielki wysiłek obozu legionowego, aby skonkretyzować swoje właściwe narodowe oblicze i odciąć się od obcych mu duchowo elementów. Czy można wyobrazić sobie bardziej skuteczny sukurs tym wszystkim, którzy za wszelką cenę nie chcą dopuścić do likwidacji „schizmy ideologicznej" i do zlania się w jedno koryto powaśnionych dotąd narodowych odłamów? Zaiste, trudno jest o gorszą dywersję ideologiczną! I nie wolno w tej akcji powoływać się na Adama Skwarczyńskiego i Jego dziedzictwo, bo kości Zmarłego w grobie by się od tego mogły przewrócić!..

A JEDNAK WIERZYMY...

Smutno jest i ciężko pisać o tych wszystkich sprawach. Żadne tłumaczenia nie potrafią zmienić faktu, że oto znowu obniżył się katastrofalnie poziom myśli politycznej w Polsce. Dużo trzeba będzie włożyć wysiłków, ażeby uciszył się dzisiejszy zgiełk i hałas jarmarczny i ażeby odzyskało swe prawa „dziedzictwo myśli, o honor i potęgę Państwa dbałej".

Wiara w Naród, w jego geniusz i w utajone siły twórcze jest zasadniczą cechą Nacjonalizmu. Dlatego też wierzymy, że przemówi wreszcie w sposób dobitny instynkt narodowy. Wierzymy, że są jeszcze w Polsce ludzie, zatroskani o dobro powszechne, stojący ponad grupami i umiejący myśleć kategoriami całości. Do nich się zwracamy w tym ciężkim okresie zamętu i pomięszania pojęć. Do nich się zwracamy z apelem, ażeby wspólnym wysiłkiem położyć kres gorszącemu widowisku.

Wiemy, iż ludzie ci znajdują się we wszystkich obozach i po obu stronach barykady. Wierzymy, że z ludźmi tymi znajdziemy wspólny język, ażeby móc podjąć wspólną pracę nad renesansem myśli politycznej w Polsce.

Witold Ipohorski-Lenkiewicz

Z PRASY

Koń faszerowany czyli „Ałła-werdy" po gruzińsku

Miłośnicy prasowych polemik w wielkim stylu mieli ostatnio nie lada sensację. Był nią cykl artykułów plk. Miedzińskiego w „Gazecie Polskiej", wymierzony przeciwko poglądom red. Niedziałkowskiego w sprawie hiszpańskiej. Redaktor „Robotnika" broni, jak wiadomo, uparcie tezy, że w Hiszpanii panowała „ludowo-frontowa" republikańska sielanka i że nazywanie jej „imprezą p. Stalina" mija się całkowicie z prawdą.

Odpowiedzią na to był cykl artykułów w „Gazecie Polskiej", w których autor, opierając się wyłącznie na źródłach sowieckich, udowodnił w sposób klasyczny, że ta „sielanka" polegała na planowej realizacji zapowiedzi Lenina o „podpaleniu Europy z drugiego końca" właśnie od strony Hiszpanii.

W artykułach tych czytamy, m. in.:

„Jak już powiedzieliśmy — Hiszpania podpalona została z czterech rogów. Bilety wizytowe podpalaczy z ich własnej drukarni („Izwiestii" i „Prawdy") zareprodukowaliśmy powyżej. A p. Mieczysław Niedziałkowski wciąż wmawia w siebie i swoich biednych czytelników, że w roku 1936 *l'ordre regnait en Espagne*, zaś Sowiety, sprowokowane przez obcą

agenturę gen. Franco, znalazły się dopiero później w charakterze „jednego z dostawców sprzętu wojennego za pieniądze".

„W świetle podanych faktów wolno więc nam chyba uważać za udowodniony *planowy, inicjatywny i ofensywny* charakter działań *sowieckich* w wywołaniu i w prowadzeniu rewolucji hiszpańskiej. Wystąpienie gen. Franco było kontrakcją w ostatniej niemal godzinie przed realizacją planów stworzenia „Sowietów nr. 2" za Pirenejami.

„P. Niedziałkowski uparł się przy swym *sekrecie:* nie chce widzieć ręki p. Stalina w Hiszpanii; ba, woli nawet, w myśl bojowej propagandy faszystowskiej, wskazywać na interwencję Francji".

Z montowaniem „Frontu Ludowego" w rozmaitych państwach i z rolą w tem socjalistów sprawa przedstawia się mniej więcej tak. Każde rozsądne dziecko zdaje sobie dzisiaj sprawę, że ów osławiony „Front" jest tylko koniem trojańskim, przy pomocy którego kremlińscy mołojcy mają się przedostać do wnętrza cywilizowanych społeczeństw.

Zawartość tego konia nie jest już dzisiaj specjalnie maskowana. Wciągają do oblężonego grodu takiego drewnianego potwora, a wewnątrz krzyk, hałas, ktoś śpiewa Międzynarodówkę, ktoś kogoś „po matuszce" posyła, ktoś krzyczy: „Camarados, viva Sovietos!". I dopiero krzyk i głosy ostrzeżenia: „Ejże, to p. Stalin ze swoją świtą w środku siedzi!"... A pp. socjaliści stoją sobie na boku i perswadują łagodnie, że nijakiego p. Stalina w środku niema, że ten konik — to zabawka dla grzecznych dzieci, a opowiadania o kominternowskim farszu — to faszystowskie bujanie i lipa...

A p. Stalin słyszy to sobie i jak nie zarechoce z uciechy, jak nie ryknie na całe gardło„Ałła-Werdy" po gruzińsku! A pp. socjaliści znowu tłumaczą, że to nie p. Stalin zarechotał basem, tylko drewniany konik zarżał sobie z głodu, i że to nie „Ałła-Werdy" ze środka słychać, tylko francuską piosenkę: „Malborough s'en va-t-en guerre"...

Zaiste, smutną i niewdzięczną rolę obrała sobie Polska Partia Socjalistyczna...

Kosztowna zabawa

„Goniec Warszawski", opisując morderczy wyścig zbrojeń, któremu przodują Niemcy dzisiejsze, zamieszcza następujące uwagi:

„Ciekawe widowisko. Czy mamy mu się tylko przyglądać? Czy nas to nic nie obchodzi? Czy dalej mamy, jak przed rokiem i dwoma laty wydawać na zbrojenia po niecałe 800 milionów złotych?

Skąd weźmiemy więcej?

Nie czas dziś na to pytanie. Rzeczą władz jest oszczędzanie każdego grosza wydawanego na rzeczy zbędne. Rzeczą władz jest także zorganizowanie produkcji i wymiany, by znikli bezrobotni i ci ze statystyk i ci nigdzie nierejestrowani, by i u nas dziesiątki i setki tysięcy ludzi stanęły do pracy, która jest początkiem najświętszej wojny o wolność.

Rzeczą społeczeństwa jest dać środki na ten cel. Choćbyśmy się mieli wyrzec wszelkiej przyjemności, choćbyśmy mieli sobie odejmować od ust, choćbyśmy mieli wycisnąć z siebie ostatnie poty — za wszelką cenę musimy podnieść, i to bardzo wydatnie nasz, jak się to dziś mówi, potencjał obronny".

Uwagi nie tylko słuszne, lecz godne rycia złotem w marmurze. Ale nas zastanawia tutaj inna kwestia. Chcielibyśmy, mianowicie, znaleźć odpowiedź na pytanie: dlaczego ludzie, przemawiający takim językiem, nazywają się opozycją? I czy w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa cała ta zabawa w opozycję i grupy prorządowe nie jest jakąś nieprawdopodobną bzdurą, nonsensem, idiotyzmem, głupotą i zawracaniem głowy?

Niech nam ktoś to wszystko wytłumaczy, bo my tego zrozumieć nie możemy...

SZUKAMY WROGA NR 1

Zagadnienie konsolidacji społeczeństwa może być rozpatrywane w kilku płaszczyznach. Dla ludzi, tkwiących bezpośrednio w akcji politycznej — najważniejszymi są momenty praktyczne, zdolne przybliżyć lub oddalić wynik końcowy. Dla osób, niezaangażowanych bezpośrednio, — na plan pierwszy mogą się wybijać pewne *aspekty teoretyczne.* W uwagach poniższych pragniemy omówić kilka momentów z tej właśnie dziedziny, łączących się ściśle z zagadnieniem *oddziaływania* na ludzi, czyli *propagandy.*

Wydaje się jasne, że konsolidacja, lub raczej może zjednoczenie narodowe, nie może dokonać się na drodze przypadku. Zrealizowanie jej opierać się musi na zastosowaniu pewnej ilości *konkretnych reguł postępowania,* zupełnie niezależnie od tego, kto będzie zajmować się dziełem zjednoczenia. Tak samo jak zasady strategii obowiązują w równej mierze generała bolszewickiego jak japońskiego, tak pewne zasady *psychologii mas* i techniki propagandowej muszą być stosowane przez każdego, kto pragnie swój cel polityczny zrealizować.

Zjednoczenie narodowe, choć jest niewątpliwie celem godnym największych wysiłków, nie powinno być stawiane przed tłumami jako cel, lecz jedynie jako *środek realizacji większych zadań.* Zadania te muszą być sformułowane w sposób zdolny do porwania mas, a więc muszą to być zadania o charakterze bojowym. Smutnym być może, lecz niezaprzeczalnym faktem jest większa podatność człowieka *na hasła negatywne* niż pozytywne. Dlatego wszystkie bez wyjątku wielkie ruchy ideologiczne szerzące się w świecie miały nastawienie bojowe, skierowane *przeciwko widocznemu przeciwnikowi.* Jako przykład mogą służyć wszystkie niemal religie, nie wyłączając chrześcijaństwa, które wypowiedziało wojnę, bezkrwawą wprawdzie lecz bezwzględną, pogaństwu i złu wyobrażonemu przez szatana. Wszystkie ruchy rewolucyjne występowały przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy i popularność swoją zawdzięczały zapewne więcej *elementowi walki* przeciwko jakiejś znienawidzonej władzy, niż pozytywnym założeniom programowym swoich dowódców.

Usiłowanie przemienienia natury ludzkiej i wykrzesania entuzjazmu hasłami słusznymi może, lecz bladymi i bez żywej, bezpośredniej wymowy, skazane jest z góry na niepowodzenie. Niestety — nic bardziej ludzi nie łączy niż *wspólne niebezpieczeństwa i wspólni wrogowie.* Niebezpieczeństwa muszą być bliskie i realne, widoczne dla każdego, — wrogowie dobrze znani. Nawet tak realne niebezpieczeństwo jak zbrojenia sąsiadów i groźba wojny nie przemawiają do psychologii tłumu aż do chwili decydującej, gdy widzi on nieprzyjacielskie samoloty lub własne wojska maszerujące na front. Czyżby znaczyło to, że na zjednoczenie trzeba czekać do chwili wojny, lub też samemu wybrać tę drogę do konsolidacji? Sposób niezawodny, ale trochę niebezpieczny.

* * *

Zagadnienie zjednoczenia narodowego jest problemem *czysto propagandowym.* Powstaje więc pytanie, jaka metoda propagandy może wywołać wśród szerokich mas poczucie jedności i energię czynu?

Odpowiedź na to pytanie nie wydaje się trudna. Zarówno doświadczenie własne jak i cudze przemawiają za tym, że może nią być tylko wybranie jednego lub kilku przeciwników i oparcie propagandy na walce, która musi być gwałtowna i bezwzględna. Wtedy nawet nikt nie zauważy, jak pojawi się zgoda w wielu, wielu innych sprawach, gdy wszystkich, lub też znaczną większość, łączyć będzie potężne spoiwo walki przeciwko wspólnemu wrogowi.

Nie jest wszak przypadkiem, że Amerykanie, mistrzowie propagandy, skoncentrowali nienawiść ludności przeciwko gangsterom na paru bandytach, oznaczając ich nazwami publicznych wrogów Nr. 1, Nr. 2 itd. Nie chodzi tu o zwykłą zabawę, lecz o walkę z przestępczością opartą na *naukowych zasadach propagandy.* Nigdy nie uda się pociągnąć mas operując tylko pojęciami oderwanymi. Jeśliby urządzić kampanię pod hasłem „Przecz z zbrodnią, niech żyje uczciwość" — to nie dałaby ona napewno pożądanego rezultatu. Natomiast jeżeli akcję przeciwko zbrodniczości skojarzyć w umyśle przeciętnego człowieka z jakimś superbandytą, John'em Dillinger, to cały kraj zaczyna żyć walką przeciwko przestępstwu, biorąc w niej nieraz czynny udział. To, że John Dillinger zostanie ujęty żywy lub martwy, nie jest bynajmniej najważniejszym wynikiem akcji, albowiem pozyskanie społeczeństwa dla walki z gangsterami, względem której bywało ono obojętne, ma nierównie większą wartość ogólną.

Ogłoszenie walki przeciwko warcholstwu, nieuczciwości, egoizmowi, nielojalności względem państwa, ideologiom zasadniczo obcym duchowi narodowemu itd. nie może dać rezultatu na większą skalę, bowiem chodzi tu o pojęcia oderwane. Trzeba walkę skoncentrować na widomym obiekcie. Wtedy nastąpi moment deklarowania się za lub przeciw, a w konsekwencji silne spojenie się większości, która wypowiedziała się za walką z wrogiem Nr. 1.

Możnaby tej metodzie zarzucić, że jest to poprostu powrót do ostrych walk partyjnych. Zapewne byłoby tak, gdyby przeciwnik był źle wybrany, to znaczy gdyby mógł liczyć na poważną ilość zwolenników. Wróg Nr. 1 powinien być wybrany w ten sposób, aby przeciwko niemu mogła się zjednoczyć olbrzymia większość społeczeństwa. Nie może on być jednak pojedyńczym człowiekiem, ani też grupą śmiesznie małą, bowiem nie miałoby sensu wybrać poprostu kogoś na ofiarę, aby tylko było przeciwko komu walczyć. Ponadto powinien on być wyraźnie zdefiniowany. Dlatego walka przeciwko np. konserwatystom jest trudniejsza, niż przeciwko, powiedzmy, kamienicznikom, — bowiem z konserwatysty można stać się łatwo radykałem, zaś z kamienicznika trudno jest zostać biedakiem bez licytacji i wielu innych formalności.

Wysuwanie haseł walki o pojęcia zbyt oderwane również nie może doprowadzić do pożądanych wyników. Trudno jest naprz. podejść do człowieka, nawet niekoniecznie prymitywnego umysłowo, i wywołać jego gorący entuzjazm wezwaniem do walki o pięcioprzymiotnikowe wybory. Natomiast bardzo często wywołuje duże zrozumienie hasło walki chociażby z tak widocznym i namacalnym przeciwnikiem, jak — urząd skarbowy. Chodzi o to, aby umysłom ludzkim podsuwać *prawdziwych wrogów*, bo inaczej stworzyć sobie mogą *fałszywych*.

Być może wszystko to niejeden nazwie demagogią. Nie było by to jednak słuszne, gdyż cele *konsolidacji przez walkę* byłyby z pewnością identyczne z celami zakreślonymi przez obecne plany zjednoczenia. Chodzi więc tylko o to, ażeby akcja była skuteczniejszą, a wyniki jej — większe.

Tadeusz Lutosławski.

REFLEKSJE I UWAGI

SOBIESKI I STROŃSKI, CZYLI SKĄD SWĄD?

W sali Domu Katolickiego w Warszawie odbył się niedawno zbiorowy odczyt gen. Kukiela i prof. Strońskiego na temat: „Odsiecz Wiednia w świetle prawdy i dokumentów historycznych". Momentu pewnej pikanterii dostarczył fakt, że tezy obu prelegentów były — w gruncie rzeczy — sprzeczne. Prof. Stroński dowodził pracowicie, że Sobieski dlatego tylko poszedł na pomoc Habsburgom, że nie dał wyników Traktat Jaworowski z r. 1675, zobowiązujący Polskę do walki z elektorem brandeburskim i wspierania Węgrów przeciwko Austrii.

Gen. Kukiel twierdził natomiast, że Sobieski walkę z Półksiężycem uważał za misję swojego życia. i sposobił się do niej od lat najwcześniejszych. Co się zaś tyczy Wiednia, — to poszedł tam dlatego, ażeby nie mieć Turków pod Krakowem, i ażeby walczyć na oczach całej Europy i u jej boku, a nie oczekiwać w razie najazdu wątpliwej pomocy.

Wszystko to są jednak rzeczy, interesujące dzisiaj raczej historyków. P. prof. Stroński nie byłby jednak sobą, gdyby nie wprowadził do odczytu momentu aktualności. Na zakończenie prelekcji zaprezentował więc wydaną 250 lat temu w języku niemieckim książkę p. t. „Polak, tańczący pod francuzką dudką". W broszurze tej inspirowani przez Habsburgów autorzy ostrzegali Polskę przed uleganiom wpływom francuskim, skąd Pan Profesor wyciągnął wniosek, że nie należy i dzisiaj mądrzyć się, stawiać, bawić we własne interesy na wschodzie Europy etc., a trzeba słuchać Francji — i kwita.

W innym znów miejscu usłyszeli słuchacze pogląd, że wyprawa wiedeńska wywołana była obawą usadowienia się śmiertelnego wroga Polski na Morawach, czyli na terytorium dzisiejszej Czechosłowacji. Stąd wniosek, że Polska i dzisiaj musi bronić integralności Czechosłowacji.

Poglądy tego rodzaju są bardzo ciekawe i zasługują niewątpliwie na baczną uwagę. W polityce nigdy nie zawadzi obejrzeć każdą koncepcję ze wszystkich stron. Troska o właściwy kierunek polityki zagranicznej jest rzeczą chwalebną i słuszną. Jedna jest tu tylko okoliczność, która nas całkiem, jak to się mówi, dekonfituruje. A okolicznością tą jest zdumiewająca zbieżność poglądów p. prof. Strońskiego z poglądami... Komunistycznej Partii Polski.

Wpadł nam niedawno w ręce Nr. 3/4 „Czerwonego Sztandaru", centralnego organu K. P. P. Otóż, na str. 2 tego organu, wśród długiej litanii haseł pierwszomajowych, znaleźliśmy taki np. passus: „Żądamy dedemokratycznej, pokojowej polityki zagranicznej, polityki porozumienia i sojuszu z Francją, Czechosłowacją i ZSRR!".

Na str. 3 w jednym z artykułów znajdujemy znowu takie np. zdanie: „Zadzierzgnijmy silniej więzy z klasą robotniczą demokratycznej bratniej Czechosłowacji". Zaś na str. 6, w artykule omawiającym uchwały kongresu Stronnictwa Ludowego, czytamy:

> „Rezolucja w sprawie polityki zagranicznej domaga się związania Polski z „państwami Europy Zachodniej i Ameryki" — przemilczając tak potężnego i konsekwentnego obrońcę pokoju i przyjaciela Polski, jak Związek Radziecki.
> Że niemożliwą jest skuteczna obrona przed agresją hitlerowską bez sojuszu ze Zw. Radzieckim — to zrozumiały zarówno Francja, jak i Czechosłowacja, z którymi ścisłego związku pokojowego domaga się kongres".

Przyznajemy, że po przeczytaniu tego wszystkiego obłok jakiś mglisty oczy nam przesłonił... Wszystkie nasze poglądy na strukturę polityczną Polski, poukładane dotąd porządnie w szufladkach mózgowych, poderwały się nagle, jak stado kuropatw, zawirowały i rozpłynęły się we mgle... Pozostał tylko chaos, chaos, chaos...

Stwierdzamy lojalnie, że nie posądzamy ani na chwilę Frontu Morges o konszachty z Kominternem. Pana profesora Strońskiego nie uważamy bynajmniej za zamaskowanego agenta p. Stalina i KPP. Stwierdzamy tylko, że w całej tej sprawie czuć okropny swąd. Skąd jest ten cały swąd — „stamtąd czy stąd?" — jak śpiewał Dymsza — nie wiemy i nie rozumiemy. Czujemy tylko, że w nos nam uderza jakieś potworne paskudztwo.

Panie profesorze Stroński! Pan jest mądry człowiek i świetny dialektyk. Niech nam Pan to wszystko jakoś wytłumaczy. Niech Pan nas trochę oświeci. Bo naprawdę po tym wszystkim w głowach u nas panuje mętlik i „t'ma kromiesznaja", jak mówią nasi ewentualni sojusznicy ze Wschodu. Coś tu jest naprawdę nie w porządku... Ktoś tu kogoś wyraźnie nabija w butelkę. Albo Pan Stalina, albo Stalin Pana...

Niech nam Pan wierzy, że dalibyśmy naprawdę bardzo wiele, ażeby miała miejsce — ta pierwsza alternatywa...

GIERMEK ZAKONSPIROWANY

Po secesji p. Jerzego Rutkowskiego ze Związku Młodej Polski w oficjalnym organie OZN ukazał się artykuł, stwierdzający, że p. Rutkowski nigdy w gruncie rzeczy wodzem ZMP nie był, a był tylko „giermkiem, cudzą tarczę i cudzy mieczyk noszącym". Tym prawdziwym „wodzem" miał być przywódca „Falangi" p. Bolesław Piasecki. W ten sposób został stwierdzony oficjalnie stan rzeczy, który dla znających kulisy „wielkiej polityki" oddawna nie był już tajemnicą.

Stwierdzić należy, że podobnie niesamowitego widowiska dawno już nie danym było w Polsce oglądać. Niezwykłość jego polegała nie na tym, że p. R. uważał pana P. za swojego wodza. Jest to bowiem sprawa gustu i nikt mu z tego powodu nie może robić wyrzutów. P. Herman Goering jest również „pierwszym giermkiem Wodza" i wcale mu to żadnej ujmy nie przynosi. Każdy w Niemczech wie, że p. Herman to jest wice-führer. Niezwykłość sytuacji polegała na tym, że stosunek p. R. do P. był zakonspirowany. Giermek nie przyznawał się oficjalnie do swojego wodza. Giermek lubił odgrywać rolę czynnika kierowniczego. Giermek lubił dawać „autorytatywne" obietnice. I dopiero gdy istotnie miarodajny czynnik decydował inaczej, p. R. skwapliwie się wycofywał, dezawuował sam siebie i tłumaczył się mętnie „wyższymi względami".

Istotny stosunek obu panów był zakonspirowany nietylko na zewnątrz, lecz równie i na wewnątrz „organizacji. Członkowie ZMP odpierali z oburzeniem posądzenia, jakoby byli ekspozyturą „Falangi". Jeden z wybitnych członków kierownictwa nazwał to posądzenie „nikczemną potwarzą", gdyż „wodzem ZMP jest tylko p. Rutkowski". Jedna z akademiczek, pracujących w centrali twierdziła, że „posądzanie ZMP o związek z Falangą jest rzeczą śmieszną, gdyż Falanga jest to drobna grupka, a my liczymy 20 tys. członków".

Otóż, należy stwierdzić bez obsłonek, że prowadzona w ten sposób akcja była niemoralną. W samym założeniu tej akcji tkwił fałsz, który prędzej czy później zemścić się musiał. Nie wolno bowiem nadużywać dobrej wiary i zaufania tych wszystkich, którzy przyjęli za dobrą monetę oficjalne hasła i oficjalną hierarchię. Wódz musi mieć odwagę występowania z otwartą przyłbicą. Prawdziwy przywódca nie może się konspirować, giermek nie może podawać się za wodza. Zarówno członkowie organizacji jak i postronni kontrahenci muszą wiedzieć, czy rozmawiają z Panem Zastępów w całym Jego majestacie, czy też tylko... ze św. Jerzym.

Brak szczerości, jak wiadomo, posiada krótkie nogi. Nie można opierać żadnego trwałego ruchu ideowego na maskowaniu istotnych celów, na t. zw. „genialnej taktyce" i na chęci nabicia kogoś w butelkę. Prób tego rodzaju było już bardzo dużo i wszystkie źle się skończyły. Poszkodowanymi będą te zawsze jednostki dobrej woli, które wzięły „licho za cetno", a które czeka nieuchronnie demoralizacja lub załamanie się wewnętrzne.

Dlatego też, nie zrażając się zarzutami donkiszoterii, trzeba z naciskiem powtarzać ten rzekomy banał, że moralność w życiu publicznym posiada nie mniejsze znaczenie od głoszonego programu. Najbardziej nawet przeciętny i jednostronny program, realizowany przez rozsądnych i uczciwych ludzi, może dać dobre wyniki. Najświętsze nawet hasła i najsłuszniejsze tezy, realizowane przez ludzi nieodpowiednich, dadzą w wyniku tylko zamięszanie i szkodę.

Tak to już jest na tym świecie, że osoba chorążego posiada nie mniejsze znaczenie od dźwiganego przezeń sztandaru.

ŻELAZNA GWARDIA, GAŁCZYŃSKI I PPP.

Nasza sojuszniczka Rumunia nie może narzekać w ostatnich czasach na brak zainteresowania. Po reformach Gogi, po próbach odrobienia w dwa tygodnie błędów i zaniedbań stuleci, po oktrojowaniu Konstytucji przez Króla, — przyszła kolej na Żelazną Gwardię i p. Codreanu.

Trzeba przyznać, że ostatnie doniesienia z Rumunii w tej sprawie brzmią całkiem sensacyjnie. Jak się okazuje, robota rumuńskich totalistów, siedzących dziś na pokucie w klasztorach, prowadzona była z rozmachem i całkiem „fachowo". Po likwidacji tajnych komórek organizacji, policja całymi ciężarówkami musiała wywozić wykryte składy broni i amunicji. Dla porozumiewania się tych komórek między sobą służyły wyłącznie skomplikowane szyfry. W podziemiach cerkwi odbywały się zebrania, na których składano przysięgę na ślepe posłuszeństwo „wodzowi".

Trzeba przyznać lojalnie, że cała ta robota wyglądała znacznie poważniej, niż w licznych polskich przypadkach. W swoim czasie w Warszawie, w podziemiach kościoła Wszystkich Świętych na placu Grzybowskim, odbywały się również zakonspirowane zebrania t. zw. „Pogotowia Patriotów Polskich" (w skrócie — PPP). Na zebraniach tych również składano straszne przysięgi, noszono maski i gromadzono broń. Jednakże cała ta tromtadracja wywołała więcej śmiechu niż strachu. Długo jeszcze po tym czcigodny ks. prałat Godlewski musiał pokutować za te hece, które się działy na jego podwórku. W dobrych kilka lat po likwidacji PPP niezrównany Konstanty Ildefons Gałczyński (obecny laureat „Prosto z Mostu") wystawił w Szopce politycznej kukiełkę ks. Godlewskiego, której kazał śpiewać na melodię studenckiej piosenki „Aaa, Akademia!" (z akcentem na ostatniej sylabie):

„Aaà — moja parafià,
Eeè — OW — PPP,
W katakumbach sekrety:
Czapińskiego portrety,
Iii — w mojej parafii!".

Aby zaś zaakcentować jeszcze bardziej moment aktualności, ks. proboszcz intonował na melodię Polonezu Trzeciego Maja:

„Choć krew naszą leją katy,
Biada wam Sanatorowie!
Przyjdzie wreszcie dzień zapłaty:
Demonstracja na Grzybowie!".

Zostawmy jednak w spokoju wspomnienia i żarty. W sprawie Żelaznej Gwardii istnieje pewien moment, który budzić musi szczególne zaniepokojenie i w Polsce.

Jak wykazało śledztwo, Żelazna Gwardia dysponowała dla swoich celów olbrzymimi, milionowymi funduszami, źródło pochodzenia których tkwiło — zagranicą. Pewne zachodnie mocarstwo, zainteresowane w uczynieniu z Rumunii swego folwarku ideowego, nie żałowało, jak się okazuje, pieniędzy.

Polska, jak wiadomo, jest krajem bardzo podatnym dla wszelkiego rodzaju naśladownictw. Dlatego też pozwolimy sobie zaproponować opinii publicznej rzecz następującą. Gdyby, mianowicie, zostały w Polsce podjęte próby utworzenia czegoś w rodzaju Żelaznej Gwardii; gdyby zaczęto śpiewać: „Dał nam przykład Codreanu"..., albo ktoś inny, jeszcze od niego mocniejszy; gdyby zaczęto głosić, że Polska musi przyjąć nową ewangielię, co na Zachodzie objawioną została; gdyby zaczęto wmawiać, że niebezpieczeństwo od zachodniej ściany — to bajeczki dla niegrzecznych dzieci, gdyż poniektóre mocarstwa wyrzekły się swoich pierwotnych planów i na Bagdad, a nie na Gdynię mają zamiar ekspansję swoją skierować, — to, na miłość Boską! — patrzmy dobrze tym panom na palce! Nie dlatego, żeby odrazu kontakt z Gestapo węszyć i o jurgielt posądzać. W Polsce, jak wiadomo, dużo się robi bezpłatnie i z głupoty takich rzeczy, za które gdzieindziej trzeba grubo zapłacić. Ale tak, jak to mówią na Wschodzie: „na wszelki pożarny wypadek"...

Sicher ist sicher — powiedział Manlicher — i dorobił do swego modelu bezpiecznik...

PAN STALIN W POLSKIM RADIO, CZYLI „GŁOS JEGO PANA"

Polskie Radio urządziło niedawno b. ciekawą audycję. W ramach periodycznych gawęd red. Ryszarda Wragi na tematy Rosji Sowieckiej zostało nadane słuchowisko p. t. „His Masters Voice". Słuchacze polscy mieli rzadką okazję usłyszenia nie tylko rozmaitych marszów i kantat na cześć „wielkiego Stalina", lecz zapoznania się również z autentycznym brzmieniem głosu Wielkiego, Jedynego i Nieomylnego. Wolno było przypuszczać, że lokalne owieczki komunistyczne wysłuchały „głosu swego pana" z takim samym namaszczeniem i nabożeństwem, z jakim zagląda do tuby gramofonu ów słynny piesek na rysunku firmowym „His Masters Voice"...

Szczególnie ciekawą była płyta, na której została nagrana mowa wyborcza p. Józefa Wissarionowicza. Dostojny kandydat mówił w niej o sobie w trzeciej osobie, zwracając się do słuchaczów z takim naprz. zwrotem: „Radzę wam, wybierzcie tow. Stalina. On was nie zawiedzie"...

W mowie tej znalazł się również następujący rewelacyjny ustęp: „Nigdzie jeszcze na całym świecie nie miały miejsca tak swobodne i wolne od nacisku wybory... Nigdy jeszcze głos ludu nie mógł wyrazić się w tak nieskrępowany sposób"...

W języku rosyjskim istnieją pewne charakterystyczne powiedzonka, które nie od rzeczy będzie tutaj przytoczyć. Pierwsze z nich brzmi: „Wriot i nie krasniejet" („Łże i nie czerwieni się"), drugie zaś: „Wri, da znaj że mieru!" („Łżyj, ale zachowaj miarę!").

DWA ŚWIATY — DWIE METODY

W Częstochowie na Jasnej Górze odbyły się niedawno uroczystości Kongresu Salezjańskiego, transmitowane przez rozgłośnie Polskiego Radia. Słuchacze radiowi mogli raz jeszcze przy tej okazji zapoznać się z sformułowaniami i tezami katolickiej doktryny społecznej.

Zakon Salezjanów powstał, jak wiadomo, w drugiej połowie XIX wieku celem kształcenia i wychowywania młodzieży rzemieślniczej. Okres jego powstania — to okres największego triumfu kapitalizmu. Potworna maszyneria, nastawiona wyłącznie na zysk i obca wszelkim skrupułom, — mlела bezlitośnie istnienia ludzkie, wyrzucając na bruk niepotrzebne jej odpadki i strzępy. Nad rynsztokami wielkomiejskimi, w zatęchłych norach mieszkalnych, w zgiełku knajp i w towarzystwie prostytutek wychowywała się wykolejona młodzież. Krwawiąca rana społeczna wielkim głosem wołała o pomoc.

W tych okolicznościach na dwuch przeciwległych biegunach zaczęli działać: Marx i Kościół Katolicki. Pierwszy pragnął wykorzystać nagromadzone złoża nienawiści i krzywdy dla obalenia nie tylko kapitalizmu, lecz również całego świata cywilizacji chrześcijańskiej. Drugi oświadczył uroczyście światu całemu, że kapitalizm obcy jest duchowi chrześcijańskiemu i uważanie Kościoła za sojusznika kapitalizmu jest oszukaństwem i nadużyciem. Ukazała się Encyklika „Rerum Novarum", Leona XIII, precyzująca katolicki ideał społeczny. Coraz większej ilości ludzi zaczęły się otwierać oczy, że zarówno Socjalizm, jak i Kapitalizm są dziećmi jednego ojca — Materializmu. Coraz większej wyrazistości zaczął nabierać fakt, że zarówno w Kapitaliźmie, jak i Socjaliźmie czują się doskonale i prym wiodą — Żydzi.

Katolicka doktryna społeczna przesiąka zwolna w życie i zmienia coraz bardziej utarte poglądy. W kościołach coraz częściej rozlegają się z ambon zdania, które mogłyby paść również na wiecach socjalistycznych. Z okazji naprz. rocznicy Encykliki „o bezbożnym komuniźmie" w kościołach warszawskich dały się słyszeć zdania, że „Kościół nie jest policjantem, który ma strzec przywilejów kapitalistów".

Zakon o. o. Salezjanów nie powstał dla walki z ustrojem kapitalistycznym, lecz dla łagodzenia jego skutków. Podczas gdy Marks mówił: „im gorzej — tym lepiej, bo w tym większym stopniu wzrastają szanse zniszczenia i rewolucji", — Salezjanie powiedzieli sobie: „Jeśli nie możemy usunąć zła całkowicie — postarajmy się, aby było ono jaknajmniejsze. Otrzyjmy jak największą ilość łez, wyprostujmy jak największą ilość skrzywionych istnień ludzkich". Tak liczne dziś na całym świecie salezjańskie szkoły, zakłady i warsztaty są najpiękniejszym, być może, w dobie obecnej objawem chrześcijańskiej zasady miłości bliźniego.

Świat Idei przygarnął pod swoje opiekuńcze skrzydła wykolejone ofiary świata Materii, chciwości i egoizmu...

wil.

NIEWYSYCHAJĄCE ŹRÓDŁO I ZATRUTE STUDNIE

Wychowanie jest, jak wiadomo, znacznie starsze niż systemy wychowawcze. Jeszcze człowiek nie zdawał sobie sprawy z własnej „pedagogii", gdy już w sposób naturalny i instynktowny wychowywał swoich następców. Stopniowy rozwój kulturalny zmuszał społeczeństwa do myślenia o sposobach i celach wychowania. W miarę mnożenia się zagadnień w tej dziedzinie proces wychowania komplikował się i stawał się stopniowo coraz bardziej trudny niż ongiś. Dziś — mamy do czynienia z wspaniałym *rozkwitem myśli pedagogicznej*, natomiast *wychowanie młodych pokoleń* zaczyna wyraźnie *szwankować*.

Przyczyny tego są jasne. Nawet najpiękniejsze teorie wychowawcze nie posiadają żadnej własnej siły wcielania się w rzeczywistość. Poglądów na wychowanie jest dziś w świecie pedagogicznym tak wiele, istnieje nadto tyle ubocznych wpływów wychowujących, że jednolite, integralne wychowywanie młodzieży jest ogromnie utrudnione. Chcąc wychowaniu nadać jeden określony kierunek, trzeba stanąć do walki z innymi kierunkami, trzeba *zawładnąć niepodzielnie dziedziną wychowania*. Kto chce rządzić wychowaniem, ma przed sobą dwojaką drogę: albo wyizolować młodzież i szkołę z pod wpływu innych czynników, albo nadać wychowaniu kierunek tak silny i *zwycięski*, że wszelkie inne wpływy i programy ugną się przed nim i ustąpią pokonane z pola walki. Albo wreszcie — uczynić *jedno i drugie:* oddzielić szkołę od życia i stworzyć z niej *zakon idei*, narzuconej w sposób ekskluzywny i bezwzględny. W ostatnim wypadku mamy do czynienia z *totalizmem wychowawczym*, który jest z kolei do pomyślenia jedynie w państwach o ogólnym ustroju totalnym .

W państwie o naszym ustroju ani możliwość trzecia ani nawet pierwsza nie może wchodzić w rachubę. Odgrodzenie młodzieży i szkoły od niepożądanych wpływów jest tak długo niemożliwe, dopóki wpływy te istnieją. Wpływów tych nie zniszczy szkoła. Może to uczynić tylko państwo. I to — państwo totalne.

Pozostaje więc jedynie możliwość druga — konieczność walki. Dlatego jesteśmy dziś świadkami toczącej się już oddawna walki o młodzież i szkołę. Walka ta toczyć się będzie tak długo, póki ktoś w niej zdecydowanie nie zwycięży. Zwyciężyć zaś może nie żadana inna siła, tylko siła *celu*, programu, siła *ideału wychowawczego*.

Spór o ten ideał wiodą u nas jawnie i skrycie różne odłamy myśli wychowawczej i — politycznej. Jesteśmy bowiem od dłuższego czasu świadkami, jak między tymi dwoma sferami działania powstał *wyraźny związek*. Zarówno bowiem wychowanie jak i polityka mają pewną wspólną dziedzinę, która nadaje sens działalności zarówno polityka jak i wychowawcy. Jest nią *dziedzina ideologii*.

Ideologia wychowawcza i ideologia polityczna były zwykle rozumiane jako sfery dalekie sobie i obce. Było to nawet poniekąd słusznym przedmiotem dumy państw liberalnych, że pomiędzy np. parlamentem a szkołą czy akademią leży, w zasadzie, przepaść nie do przebycia. Trwało to tak długo, dopóki między tymi dwoma dziedzinami nie zaczęto stawiać coraz wyraźniej znaku... równania.

* * *

Nie będziemy się zatrzymywali dłużej przy tym obszernym temacie. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że niektórzy *teoretycy* wychowania w nowszych czasach stawiają szkole ideały wychowawcze z tą myślą, że ideały te będą stanowić więź polityczną przyszłych pokoleń (Krieck, Gentile, De Man, Russel i t. p.). Zbieżność tych idei z polityką bieżącą sprawiła, że ideologia wychowawcza stała się atutem gry politycznej istniejących stronnictw. Zjawisko to obserwujemy dziś zagranicą, obserwujemy je również i w Polsce. Zarówno dalekie echa De Mana czy Kriecka, jak kierunki stworzone przez naszych rodzimych pedagogów sprawiły, że myśl o wychowaniu rozdarła się w Polsce na różne odłamy o charakterze mniej lub więcej politycznym i że odłamy te prowadzą ze sobą mniej lub więcej polityczną walkę. Pozostała część polskiej pedagogii jest w dużej mierze poróżniona między sobą takimi czy innymi sympatiami. Wszelka myśl o „apolityczności" wychowania zakrawa w tych warunkach na frazes.

Różnice poglądów na wychowanie, powstałe niekdyś na gruncie naukowo-filozoficznym i etyczno-wyznaniowym, dają się dziś sprawdzić za pomocą popularnych papierków lakmusowych, z których na jednym napisane jest „żydzi" na innym „demokracja", na jeszcze innym „naród" lub „kościół". Wychowanie, które pozytywnie reaguje na wszystkie te próby, byłyby absurdem. Nie można jednocześnie wychowywać filosemickich demokratów, będących t. zw. „państwowcami", nacjonalistami i obrońcami kościoła zarazem. Doświadczenie nauczyło również, że nie można wychowywać samych tylko „państwowców", obojętnych ideowo na aktualne problemy życia społeczno-politycznego. Czego zaniedbałoby takie wychowanie „państwowe", tego dokonałyby obozy i partie, tajne związki i bojówki.

Wychowanie stoi oddawna przed potrzebą decyzji, znajduje się bowiem coraz bardziej pod groźbą... nieuczciwej konkurencji. Przestano się już łudzić, że konkurencję tę, usuną środki administracyjne. Trzeba powtarzać nieustannie, że zwalczy je jedynie *jednolity, zwycięski program*. Nie ma już dziś potrzeby programu tego narzucać. Czasy sprawiły, że dyspozycje psychiczne ogółu młodzieży polskiej przygotowane są jedynie na program jeden: zdobycia potęgi dla Państwa, opartego na duchu żołnierskim i narodowym i na sprawiedliwości społecznej. Jest to już w najogólniejszych zarysach program *wychowawczo-polityczny* i jako taki wyjść może od obozu politycznego, względnie wyniknąć z porozumienia różnych odłamów myśli politycznej. Gdy porozumienie to *natrafia na znaczne opory*, inicjatorem może być tylko *ktoś jeden*.

* * *

Pozostawmy sobie na później zadanie sprecyzowania, jakie odłamy myśli politycznej zgłaszają dziś pretensję do wychowanie narodowego i społecznego. Nie będziemy też rozważać narazie, w jakim stopniu odłamy te mogą liczyć na sympatię i poparcie ogółu nauczycielstwa polskiego. Stwierdźmy tylko, że ogół nauczycielstwa ma w swoich tradycjach *walkę o Naród*, — niegdyś walkę kulturalną z zaborcami, później — walkę zbrojną. A tylko w takiej walce mógł się narodzić styl „człowieka polskiego", nie dyktowany przez Remarque'ów i Kischów, Faninę Halle czy Johna Devey'a. Wolno zatem sądzić, że ogół nauczycielstwa — podobnie jak młodzież — jest do przyjęcia programu *wychowania narodowego* przygotowany.

Nie naszą rzeczą jest bliższe precyzowanie programu tego wychowania. Pragniemy tylko wskazać na źródło, z którego program taki wyjść może i powinien. Jest nim *niewysychające źródło żywej legendy narodowej*, jaką była cała „epoka Piłsudczyków" i jej obecny, najbardziej realny dokument — armia polska. Źródło *narodowej wielkości*, w odróżnieniu od płytkich studzien, zatrutych rodzimą małością lub kultem obczyzny.

Może w Polsce zwyciężyć program wychowania czerpiący tylko z tego źródła, a wzbogacony nową myślą polityczną, pragnieniem narodowego zjednoczenia, siły militarnej i ekspansji. *Ten jeden*, albo w ogóle — *żaden*. Jeśli nie podejmie się on zwycięskiej walki, grozi to odsunięciem na długie lata *konsolidacji najważniejszej* — zjednoczenia Polski dnia jutrzejszego.

Bolesław Wasylewski

UWAGI NIEPOPULARNE

Przeżywamy okres gorącej dyskusji na tematy wychowawcze, w której od haseł ogólnych do szczegółowych programów poszczególnych przedmiotów poddane jest namiętnej krytyce wszystko, co dotychczas, a zwłaszcza po 1926 r. w Polsce stworzono. Słyszeć można projekty wprost „rewolucyjne": żądają niektórzy powrotu do „dawnego" systemu, przeważnie jednak bez bliższego sprecyzowania — jakiego. Dyskusja ta niewątpliwie jest potrzebna i błogosławić należy chwilę, w której szerokie rzesze czytelników gazet zaczęły się tymi sprawami interesować, wydaje się jednak chwilami, że w tym zalewie słów i złorzeczeń grozi... wylanie dziecka razem z kąpielą.

Na czym polega dyskutowane zagadnienie? Dla jednych — na usiłowaniu obalenia reformy szkolnej 1932 roku z jej konsekwencjami wychowawczymi, programowymi i podręcznikowymi; na chęci zastąpienia wychowania obywatelsko-państwowego jakimś innym wychowaniem narodowym lub „demokratycznym" lub t. p.; dla innych — na szukaniu nowego, lepszego sformułowania i nowych, lepszych środków ku temu wiodących; dla jeszcze innych — na powrocie do dawnych środków i celów.

Zacznijmy od haseł wychowawczych i spytajmy, czy szkoła polska przed — powiedzmy — ministrem Czerwińskim — miała lub czy chciała mieć ogólny program wychowawczy? Ta szkoła, która tak pięknie wychowywała w dobie niewoli? Oczywista, mamy tu na myśli program obejmujący ideał przyszłego Polaka-obywatela, stosunek do Boga i do ludzi, przygotowanie do zadań niepodległego bytu. Czy poprzednie rządy z programem takim zwróciły się do społeczeństwa, czy próbowały go tworzyć i realizować?

Nie. Były różne programy poszczególnych zakładów, nieraz bardzo piękne i głębokie, albo nie było ich wcale. Rzeczy działy się utartą koleją. A tymczasem rosło państwo i rosła młodzież, oddalająca się od wypadków, które ukształtowały psychikę już nieco tylko starszego pokolenia. Rosła młodzież niezmiernie trudna (wypadki wileńskie!), bez wojennej aureoli bohaterstwa, fizycznie wątła, nerwowa, która w domu oddychała atmosferą powojenną, mającą rzadko istotne walory wychowawcze, przeważnie obojętną wobec nowej rzeczywistości. Przy tym młodzieży tej p r z y b y w a ł o c o r a z w i ę c e j — nietylko z powodu przyrostu ludności, ale także z powodu docierania do szkoły śre-

dniej coraz większych gromad z coraz głębszych pokładów społecznych. Ten ostatni proces zresztą nie jest jeszcze wcale zakończony, a zmiana koniunktury gospodarczej może kiedyś wywołać w szkolnictwie średnim te same katastrofalne objawy, jakich jest terenem obecnie przepełniona szkoła powszechna.

Szkoła musiała się dostosować do tej — nieznanej sobie dawniej poza może Małopolską — masy i do zmienionych warunków życia swych uczniów. Wielu musiała dać dom, pion moralny, oparcie, którego tak często brakowało w rozbitej, powojennej rodzinie, a wielu musiała nakarmić i ubrać. Musiała zaspokoić potrzeby ideowe i młodzieży i państwa.

Co z tego wszystkiego dokonała w owych latach? Zorganizowała — w miarę swych środków a nieraz znakomicie — pomoc i opiekę materialną nad młodzieżą. Trudniej było z opieką moralną, wobec braku poparcia ze strony całego społeczeństwa. Poza tym — zamiast ciężką atmosferę tych lat orzeźwiać entuzjazmem — przeszła przez gorączkę zimnej, drobiazgowej analizy arcydzieł literatury. Stała przeważnie bezradna wobec wydarzeń i mogło się zdarzyć, — a niech ten wypadek będzie uważany za symbol pewnego światopoglądu — że młody nauczyciel po lekcji np. o Batorym mógł usłyszeć od swego dyrektora ironiczną uwagę, że niepotrzebnie zawraca głowę klasie takąś tam polityką mocarstwową, bo nie wiadomo co to właściwie jest, a zresztą Polska nigdy mocarstwem nie była, nie jest i nie będzie.

I mogła zdarzyć się klasa, która odezwę legionową Dąbrowskiego opatrzyła zapytaniem: ż e t e ż n a t a k i e w e z w a n i e k t o ś c h c i a ł i ś ć w a l c z y ć? Bywały i bardziej beznadziejne komentarze. Jasnych haseł, podniety do działania nie było w powojennych podręcznikach, a rzadko gdzie były w życiu szkolnym i w życiu całego społeczeństwa, które widząc zrealizowaną ideę niepodległości. jeszcze nie znalazło nowego celu działania. Trudne roczniki młodzieży wychodziły ze szkoły, od której wszak wymagano tylko dyplomu z ułatwieniami. (Dzieci wojenne tyle przeszły, tak im ciężko!).

* * *

Przyszedł i minął rok 1920. Wyszły ze szkoły roczniki, które widziały i pamiętały wojnę. Zjawiły się w niej dzieci urodzone w niepodległości. Zaczęły się programowe mowy Czerwińskiego, rozmaite kursy wychowawcze. Padły hasła wychowania obywatelsko-państwowego, kształtowanie typu bojownika i pracownika zarazem. Idea olśniła, pobudziła różnobarwnych komentatorów. Potem przyszła realizacja: jakże często nieudolna, j a k ż e c z ę s t o b ę d ą c a k a r y k a t u r ą i d e i. Przerosty i niedojrzałości usunęły ze świadomości ogółu to, co jest w tej idei twórczego i pozytywnego. Rozmieniono ją na dowcipy. Na gruzach zaczęli żerować karierowicze i niedobitki wszelkie. A szkoda! Bo tymczasem zmieniała się młodzież. Dojrzała wraz ze społeczeństwem, które powoli zaczynało myśleć kategoriami politycznymi. Przyszedł taki rocznik, który zapytał pewnego dnia: dlaczego wciąż mówimy, że „nie damy!", czyby nie lepiej było wołać: chcemy, żądamy, właśnie m y ż ą d a m y! I taki, który rozważania o granicach państwa zakończył stwierdzeniem, że: mybyśmy dzisiaj zrobili to lepiej. Ta młodzież buduje modele samolotów, lata na szybowcach, uczy się morza a wędrując z plecakami na ramionach po wszystkich polskich drogach p o z n a j e p r a w d ę p o l s k i e g o ż y c i a.

A w jakim kierunku idzie dyskusja wychowawcza? W bardzo wielu. A może lepiej by było zamiast czas tracić na rozdzieranie szat i na debaty trącące anachronizmem: państwo czy naród? — z a b r a ć s i ę n a p r a w d ę d o u c z c i w e g o r e a l i z o w a n i a § 1-g o U s t a w y o u s t r o j u s z k o l n i c t w a? I na nim się oparłszy rozbudowywać w teorii i w praktyce program wychowania młodego Polaka, oparty na dotychczasowych doświadczeniach. Znajdzie się w nim z pewnością typ bojownika i pracownika (wyjątkowo trafne sformułowanie), znajdzie się rosnąca w naszych oczach z d o b y w c z o ś ć w s t o s u n k u d o ż y c i a i ś w i a t a, żołnierska karność i ofiarność, znajdzie się i Naród i Państwo, znajdzie się — co tu dużo gadać — przekonanie, że tak trzeba umieć pracować i walczyć, j a k b y ś w i a t z a l e ż a ł t y l k o o d w o l i l u d z k i e j, a tak się modlić, jakby człowiek był pyłkiem bezsilnym, a tylko Pan Bóg działał...

J. S.

Z TEKI ARCHIWISTY

Panowie w stolicy palili cygara...

Ciekawą jest rzeczą zajrzeć od czasu do czasu do przysypanych kurzem akt dawnych. Warto jest poszperać czasami nie tylko wśród akt, odnoszących się do ważnych wydarzeń dziejowych lub do prądów społecznych i politycznych. Warto również zajrzeć czasami i do akt, nie mających na sobie żadnego stempelka „polityczności", jak naprz. do akt... spółki akcyjnej.

Leży oto przed nami gruby, oprawny w skórę tom, zawierający sprawozdania z posiedzeń zarządu kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Gruba księga opatrzona jest pamiętną cyfrą: r o k 1 8 6 3. Rok — w którym „palec Boży ziemi polskiej dotknął"... Rok — w którym „naród do boju wystąpił o orężem"...

Na jednej ze stronic tej księgi znajdujemy następującą zaprotokułowaną uchwałę:

„Działo się na Posiedzeniu Plenarnem Rady Zarządzającej Towarzystwa Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, dnia 8 czerwca 1863 r.

Obecni: Przewodniczący vice-prezes
Aleksander Hrabia Przeździecki.

Członkowie:
Leon Epstein,
Mieczysław Epstein
Michał Rostafiński...

Dywidendę wypłacić się mającą w Lipcu r. b. za rok eksploatacyjny 1863 oznaczyć na Rub. Sr. 8 od akcji jednej, licząc w to RS 3 jako zaliczenie w miesiącu Marcu r. b. Akcyonarjuszom wypłacone".

A działo to się w roku 1863...

A jednak coś się zmieniło

W tym że wolumie pod datą 12 stycznia 1963 r. znajdujemy następujące dwie uchwały:

„Obecni:

Prezes Herman Epstein
Baron Muschwitz
Andrzej Hr. Renard
Leon Epstein
Mieczysław Epstein
Hugo Xiąże Hohenlohe
Aleksander Hr. Przeździecki.

(N. D. 1907) Prośba o wsparcie uwolnionego ze służby dla podeszłego wieku dróżnika Karola Łąckiego —

u c h w a l o n o:

Udzielać mu w ciągu 1963 roku po Rub. Sr. 2 miesięcznie tytułem wsparcia".

„(N. D. 2063) Wdowie po palaczu Jastrzębskim, który uległ wypadkowi na drodze żelaznej, przyznane zostało przez Radę (Nr. 10 Prot. 1862) wsparcie na rok 1862 w ilości Rub. Sr. 20 za pierwszy miesiąc, a po R. Sr. 5 na następne miesiące. — Rok 1862 zbliża się do końca, wdowa Jastrzębska udaje się przeto do Rady z prośbą o dalsze udzielenie wsparcia.

U c h w a l o n o:

Przez ciąg roku 1963 po Rub. Sr. 5 miesięcznie wypłacać proszącej".

Jest rzeczą ciekawą, że pp. Przeździeccy, Epsteini i Hohenlohe nie powzięli uchwały o d o ż y w o t n i m w y p ł a c a n i u wsparcia ludziom, którzy sterali swe siły, względnie utracili żywicieli w służbie kolejowej. Wszystko jest tu zależne o d ł a s k i p a ń s k i e j, która — jak wiadomo — na pstrym koniu jeździ...

Ciekawe jest również, jakby pp. Xiążęta i Baroni zareagowali, gdyby przepowiedziano im nadejście czasów, gdy z m o c y u s t a w y będą musieli wypłacać pracownikom odszkodowania i renty? Czy nie uznali by tego za zbrodnicze podkopywanie podstaw Państwa i za nieomylną oznakę jakobińswa?

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Korzeniowskiego 7 m. 16. PRENUMERATA: rocznie 3 zł., półrocznie 1,50.

Wydawca i Redaktor: Witold Ipohorski-Lenkiewicz

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.